



Stefan Żeromski - Przedwiośnie, część 6.

Młodociana panna Karusia. Nie bez kozery w powieści pojawia się kobieta... Bo nie ma dobrej historii bez miłości. Oczywiście Karolina wpada w oko Czarkowi. Na drugi dzień to Czarek wpada na Karolinę. W negliżu przy kominku. Karolina ucieka. Do obiadu choruje.

Po obiedzie Hipolit i Czarus jadą na przejażdżkę. Spotykają Laurę Kościeniecką i jej narzeczonego. Sąsiadka zaprasza panów na śniadanie. Tam poznają pannę Wandę, która pięknie gra na fortepianie. Nie zdała do szóstej klasy i matka przysłała ją do ciotki, by nie denerwowała ojca.

Tak to kiedyś było!

Pani Laura organizuje piknik charytatywny. Baryka ma na nim wystąpić, ale nie ma stroju. Funduje mu go Hipolit. Czarek – wystrojony we frak – dostrzega Pannę Karolinę.

- Niech mnie pan nie gubi! Niech mnie pan nie robi nic złego!

- Złego? A czy to było złe?

- Bardzo pana proszę... Z głębi serca... Niech mię pan nie gubi!

- Ach, z tym "gubi"! Gubi...

Jednakże opamiętał się i wypuścił ją ze swych ramion.

- Niechże pani idzie, skąpcze obrzydliwy... Ale przedtem... Jeszcze raz... O, tutaj, przy samych drzwiach...

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Karusia nie mogła się oprzeć. Żeby ją tylko puścić... Jej uśmiech stał się bezradnie radosny, a usta same drogę do ust znalazły. Minęła długa chwila tego pożegnania na półgodzinne rozstanie. Wreszcie wyrwała się, skinęła głową i cichutko odemknęła drzwi. Wyszła. Cezary słyszał, jak otworzyła wejściowe i wypadła do ogrodu. Czuł w całym ciele szczęście, jakby pocałunek oddany ustom przez usta krążył teraz we wszystkich jego żyłach i żarzył się w szpiku kości.

Wyrzął przez okno. Nie było nikogo. Toteż pomyślał:

"Och, sekutnica! Nikogo tu nie ma. Można było całować się jeszcze choćby i pół godziny. Teraz nieprędko taka sposobność się zdarzy".

Tymczasem mylił się grubo. Był ktoś, co pilnie śledził tę schadzke przygodną i widział dobrze pocałunki. Była to młodociana muzyczka, panna Wanda Okszyńska. Gdy Karolina wyszła z mieszkania jej wujostwa, pianistka chyłkiem wysunęła się za nią na schody, bynajmniej nie w celu szpiegowania, lecz dla ulżenia swemu sercu.

Biedna, zakochana Wanda... Wanda, Karolina... Nie, to jeszcze nie koniec. Któregoś dnia ślepy los (albo pisarz Żeromski) rzuca Czarka w sytuację SAM NA SAM z wdową Laurą – tej co ma zorganizować bal charytatywny. Kobieta podwozi chłopaka do Nawłoci.

Konie gnały szeroką, piaszczystą drogą alei. Światła latarni rzucały nagłe strzały popłochu między wielkie pnie lip i topoli. Kareta na wybojach kołysała się to tam, to sam, jak łagodna kołębka. Czarne jej pudło i lustrzane okna, zasłonięte firankami, rzucały tajemnicze lśnienia i przecinały noc jesienną, która szybko zeszła na mokre łąki i zwiędłe pola. W tej dzikiej niespodziance rozkoszy, w niebezpieczeństwie, w locie pośród pól, w kołysaniu i drzeniu była otchłań radości obojga przygodnych kochanków. Oszaleli do cna od nagłej pasji, marzyli o rozkoszy swej, doświadczając jej w pełni. Pocałunki ich i pieszczoty były bezdenne jak ta noc, pełne potęgi niewyczerpanej jak fuga koni niosących się w przestrzeń.

Cezary nie może zrozumieć dlaczego Laura wychodzi za człowieka, którego nie kocha. Spędza z nią noc.

W czasie balu Cezary nie może oderwać oczu od Laury, której towarzyszy narzeczony. Baryka prosi więc do tańca pannę Karolinie.

Z braku laku lepszy kit.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Gwiazdą balu jest Wanda, która oczarowała wszystkich swoją grą na fortepianie. Gdy grała cytuję - „jedną z ostatnich sonat Beethovena” - Laura wymknęła się z Cezarym do ogrodu. Odkrywa to Karolina, której łamie to serce. Gdy wraca do Sali jest wezwana do zatańczenia kozaka. Jako partnera wybiera Cezarego.

Baryka! - huczał Hipolit, już dobrze podpity. - Cudnie tańczy kozaka Baryka. Czarus, bracie, stawaj! Najcudniejsza Kozaczka z Dzikich Pól, patrz, wygnana z ojczyzny swej, prosi cię, żebyś jej przypomniał, jak to tam było...

- Panie Baryka - rzekła Karolina - proszę mi przypomnieć, jak to tam było...

Cezary wystąpił z tłumu i stanął w pustym kole. Karolina przybrała pozę i wykwitła naprzeciwko niego. Hipolit Wielosławski rzucił się do fortepianu i począł z rytmicznym naciskiem odwalać wściekle takty kozaka. Baryka rozpoczął taniec. Ująwszy się pod boki, w skokach zbliżał się do Karoliny raz prosto, raz bokiem albo zataczając półkola. A stanąwszy tuż przed nią, wykonywał bardzo zgrabne przytupywania. Skoro, powtarzając swe ruchy i skoki poprzednie, cofnął się na miejsce, Karolina ujęła się również pod boki i odrzuciwszy w tył głowę poczęła naśladować jego ruchy. Suche jej stopy w lakierowanych pantofelkach, w jedwabnych pończochach migały jak mgnienie samego światła, gdy ze swego miejsca przebiegała pustą przestrzeń zdążając ku tancerzowi. Wnet oboje zawtórowali sobie, coraz to żywsze, gwałtowniejsze, szaleńsze wykonywując ruchy nóg i przysiadania a poderwania się z ziemi.

W tańcu Karoliny był istny arcywzór zgrabności i powabu. Był to jak gdyby obraz nagłej napaści i zdradzieckiego wypadu, którego ofiara ucieka równie zdradziecko i nagle. Usta jej były boleśnie uśmiechnięte, oczy świejące jak gwiazdy, białe zęby lśniły wśród warg dziewiczych, a całe ciało miotano się i szarpało w niezwalczonej pasji, wepchnięte w sidła melodii dzikiej i nieokiełznanej. W ujęciu się pod boki, przysiadaniu i niepochwytnych dla oka rzutach nóg była niezmiernie kusząca i powabna melodia jej młodego ciała. Sama tancerka doświadczała niesamowitej rozkoszy w tym narzucaniu się przed oczy tancerza ze swymi ślicznymi piersiami, sprężystym, wklęsłym brzuchem i wysmukłymi nogami. Hardo, wyniośle i wyzywająco miotła przed jego oczy swe małe stopy, wynurzała i chowała swe piersi. Głowa jej była dumnie zadarta i w tył odrzucona. Oczy ciskały tysiąc pokus i tysiąc przekleństw w oczy złoczyńcy i zdrajcy.

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

Oparta o pudło fortepianu przypatrywała się tym dwojgu Wanda Okszyńska. Przymrużone jej oczy mierzyły każdy skok Cezarego i Karoliny i liczyły każdy uśmiech obojga.

Z drugiej strony pustego tanecznego koła wdzięcznie rozparta w złocistym fotelu, widoczna w całej swej krasie, powabie i ponęcie siedziała Laura Kościeniecka. I ona mierzyła każdy krok, skok, ruch, każde przegięcie się, zniżanie się i wzlot do góry "jej" Czarusia Czarusienka, Czarownicza... Jeszcze miała w uszach huk wiatru wśród nagich konarów grabowej alei. Jeszcze z ramion jej nie wytchnęło przenikliwe zimno jesienne i zdrętwienie pleców od zetknięcia się z lodowatymi szorstkimi deskami ławki omszałej w czeluści czarnej altany. Jeszcze miała na ustach woń jego ust, na piersiach jego ciężar upragniony, radosny i błogi, a wewnątrz siebie, w cieśniach tajemnych ciała - płomienny, gorący, darzący cichą i tkliwą uciechą owoc potężnej jego rozkoszy. Teraz wprowadził ją w zachwyt swym tańcem, swym lotem, swą niespożytą, pulsującą i ruchliwą siłą. I czuła go w całej swej istocie jako ruch i skok, który nad jej wolą tu i tam lata niczym wielobarwny zygzak piorunu.

Właśnie wtedy narzeczony, pan Barwicki, nachylił się nad nią i czynił jej do ucha cierpkie uwagi o niewłaściwości tańczenia w polskim zebraniu kacapskiego tańca. Uwagi jego były najzupełniej słuszne, bardzo dobrze sformułowane, ściśle i trafnie ujęte w złośliwe aforyzmy. Narzeczona akceptowała w zupełności kąśliwe uwagi narzeczonego. Podzielała jego oburzenie. Gotowa nawet była protestować, boć jako inicjatorka i gospodyni tego pikniku... Lecz nie wypada. Jej samej nie wypada. Zwróciła uwagę narzeczonego na okoliczność, że przecie to sami Wielosławscy - matka, Anastazy, Hipolit - zaproponowali tańce tego przybłądy, tego jakiegoś Baryki. Gdzie oni go wykopali, tego chłystka, Barykę? Także nazwisko! Nieprawdaż, dzióbku?

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl